

TELEFON

Nadia. Tanio sprząta mieszkanie. Tel. 8885

Wąski skrawek papieru przyklejony do latarni. Zapisała numer telefonu w notesie.

Trzeba wreszcie porządnie posprzątać mieszkanie. Ubrania męża włożyć do worków. Dać ubogim. Zanieść do Caritasu. Wrzucić do pojemnika na używaną garderobę. Trzeba wreszcie coś zrobić, a nie tkwić sześć lat w przeszłości. Potykać się o jego kaptcie, ubrania, bibeloty, kwitki, zaproszenia, notesy.

Czuje się osaczona tym nadmiarem drobiazgów, sprzętów, ubrań związanych z nim; z tym, kogo nie ma. Nie umie przeciąć pępowiny przywiązania, miłości — niegdyś szalonej, zatracającej.

Pamięta pierwszy pocałunek. Ciepłe wargi. Zarost muskający jej policzki.

Spotkali się przypadkiem, przy wypożyczalni kajaków. Było gorące lato. Z dala docierał żywiczny zapach sosnowego lasu. Po jeziorze krążyły kajaki, żaglówki.

Nie potrafiła pływać, ale lubiła usiąść na pomoście i spoglądać z lekką zazdrością na wilki jeziorne wyciągające łódki z hangaru, a potem kołyszące się na lekkiej fali.

Jej nikt nie zaproponował przejażdżki. Zresztą i tak by odmówiła. Bała się wody. Z daleka podziwiała wiosłarzy — jak się jej zdawało — dzielnych, odważnych, ogorziałych, umięśnionych. „Dla dziewcząt i młodych kobiet pociągająca jest siła fizyczna, stąd powodzenie tępych osiłeków” — stwierdziła po latach.

Do Augustowa przyjechała na spotkanie autorskie. Miała już wydane dwa tomiki — wiersze o miłości, a właściwie o tęsknocie za miłością, jakiej jeszcze nie знаła.

Czy istnieje miłość? Takie zauroczenie zapierające dech w piersiach?

Chyba nie.

Temat spotkania: „Poezja miłosna”. Plakaty z czerwonym sercem przybite pinezkami do pni sosen przykuwały wzrok. Przyciągały.

W sali jadalnej internatu zebrało się z pięćdziesiąt osób. I on, którego widziała przed hangarem, w pierwszym rzędzie. Opalony, pewny siebie, wyprostowany, lekko wysunięta szczeka. Trochę ironiczny.

„Matematyk — pomyślała wtedy. — Uważa swój przedmiot za królową, a humanistów za przygłupów o niskim ilorazie inteligencji”.

Peszył ją. I pociągał.

Zakończyła spotkanie szybciej niż zwykle. Głos zamierał jej w gardle. Czuła suchość w ustach.

Nie, nie popisała się.

Wyszła. Udała się w stronę jeziora. Przysiadła na pniu świętej sosny.

Musi ochłonać.

— Moje gratulacje. — Usłyszała niski głos o ciepłym brzmieniu. — Zapraszam na kajak.

— Nie umiem pływać — odpowiedziała.

— Nic nie szkodzi. Jest kapok. Nie utopię pani.

Ziściło się jej marzenie. Wypłynąć na jezioro. Zobaczyć brzeg z innej perspektywy, ze środka. Być blisko trzciny, tataraku, kaczek, perkozów, kurek wodnych.

Była mu wdzięczna i pełna podziwu dla jego męskiej siły, pewności siebie, którą podkreślał kwadratowy zarys szczęki.

Płynęli w milczeniu, wsłuchani w dźwięki wydawane przez spłoszone wodne ptactwo i skrzypienie wiosł. Nagle przypomniała sobie przepowiednię astrologiczną zamieszczoną w styczniowym numerze pisma dla kobiet: „Raki spotkają się nad jeziorem”...

— Spod jakiego jest pan znaku? — rzuciła pytanie zniecierpliwiona.

— Nie rozumiem — odpowiedział głosem o głębokim brzmieniu. — Co to jest znak?

— No, kiedy się pan urodził? W jakim miesiącu?

— A, o to chodzi. W lipcu.

— W lipcu? — Zadrżała.

Był to czas mody na New Age, której i ona uległa. Nie zdawała sobie sprawy, że ta pseudofilozofia jest niezgodna z doktryną Kościoła. Dzięki uchylaniu rąbka wiedzy

o przyszłości horoskopy niosły nadzieję — tak myślała, zresztą nie tylko ona, wstępująca w życie dziewczyna.

— W lipcu? — powtórzyła. — Jest pan spod znaku raka.

„Jestem poetką. I chcę być sama. Sama! Niezależna” — dopadły ją nagle nakazy jej czasów.

— Proszę dobić do brzegu. Chcę wysiąść.

— Ale dlaczego? Co się stało? Nie rozumiem. — Przeszła wiosłować. — Źle się pani czuje? Jestem lekarzem. Zaradzimy.

Ach, nie matematyk. Lekarz. „Na jedno wychodzi. Apodyktyczny typ” — pomyślała.

— Muszę wracać. Późno — powiedziała głośno.

— Jesteśmy na wodzie dopiero trzydzieści minut.

— Proszę. Wracajmy.

— Dobrze. Szkoda. Mieszka pani w internacie?

— Tak. Z trzema koleżankami. — Niech nie myśli, że sama albo z mężczyzną.

— Tłoczno. Tak pani nie wypocznie. Wena nie zagości. Znajdę dla pani kwaterę. Musi pani wypocząć. Wygląda pani mizernie i na bardzo zmęczoną. Fachowe oko lekarza.



„To prawda — pomyślała. — Jestem zmęczona. Tak bardzo zmęczona”.

— Do jutra. Znajdę pani pokój.

I tak się stało. Pokój na poddaszu w drewnianym domku, przed którym rosły malwy. Z belkowanym sufitem i małymi oknami z okiennicami z serduszkami. Pachniało tu drewnem i ziołami. Pod sufitem wisały girlandy piołunu, nostrzyka, wrotycza. Leżąc w wygodnym łóżku, liczyła jakże malownicze sęki w deskach.

Pukanie. Zaskrzypiały drzwi.

Stanął w nich wysoki, opalony. W białej koszuli, niebieskich dżinsach.

„Gdzie zdobył dżinsy? W Peweksie” — pomyślała.

Usiadła na łóżku.

— Mogę? — zapytał.

— Proszę.

W jej pokoiku nie było krzesel. Tylko stolik, dwie półki i haki do wieszania ubrań wbite w ściany.

Usiadł obok niej. Na jej ręce położył dłoń, mocną, dużą, z wyraźnymi żyłami.

„Takie dłonie mają chirurdzy” — pomyślała.

Sześć lat go nie ma. Odszedł na zawsze. On, lekarz, nie pokonał choroby.

Została sama i nie sama. W otoczeniu jego rzeczy. Przedmiotów małych i dużych. Stetoskop, nóż do papieru, zegarek, książki, papierosy, zapalniczka, ubrania. Marynarka jeszcze wisi na krześle, buty i kapcie w przedpokoju.

Musi przeciąć pępowinę. Tak żyć nie można. W ciągłym szlochu, nicnierobieniu, wspomnieniach, łzach...

— Zrób remont — powiedziała przyjaciółka. — Inaczej zginiesz, zadręczysz się.

I oto ogłoszenie na latarni: *Uczciwa. Tania...*

Wanda wybiera numer. 8885.

— Halo. Czy pani do sprzątanania?

— Nie — odezwał się męski głos.

— Przepraszam pana najmocniej. Pomyliłam numer.

— Nic nie szkodzi — odpowiedział. — Poczułem się bardzo samotny, a tu nagle pani miły, melodyjny dziewczęcy głosik.

— To pomyłka — powtórzyła i rozłączyła się.

Po pół godzinie dzwonek.

— Proszę się nie gniewać — ten sam męski baryton — ale nie mogę zapomnieć pani głosu. Proszę mi coś o sobie powiedzieć. Jest pani młodą, śliczną dziewczyną, prawda? Gdzie pani mieszka?

— W Warszawie — wyrwało się jej.

„Przecież nie ma sensu konferować z nieznajomym. Może to więzień, recydywista, zboczeniec” — myślała.

— Mam na imię Piotr, mieszkam w Radomsku.

„Znowu Piotr. Prześladuje mnie to imię. A ja nie mam czasu na tego rodzaju zabawy. Jestem poważną osobą. Starszą kobietą. Trzeba mu to powiedzieć. Wyraźnie. Odczepi się. A może nie chcę, żeby się odczepił?”

Jest sama. Bardzo samotna. Ten Piotr nie ugryzie przez telefon. Nie zamorduje.

Śmieszne. Gdyby znał jej wiek, nie byłby tak natarczywy.

— Niestety ja jestem dużo starszy od pani. Czterdzieści pięć lat, tak, tak. Ale młodzieńczy wygląd — zaznaczył z naciskiem. — Uprawiam sporty. Chodzę na siłownię.

„Czterdzieści pięć lat! Niewiele starszy od mojego syna. Absurdalne. Absurdalne — analizowała. — Powiedz mu, że jesteś babcią, że jest dla ciebie za młody. Nawet do konwersacji przez telefon”.

Wtedy zrozumiała, że związek z mężczyzną już nie jest dla niej. Wrogiem jest czas.

„Może i miły człowiek. Niekonwencjonalny. Gdybym miała czterdzieści, pięćdziesiąt lat... Góra pięćdziesiąt pięć... Ale nie...”

— Halo? Jest pani tam? — Usłyszała w słuchawce.

„Co mi zrobiłeś, Piotrze, moja miłości? Zostawiłeś mnie po tylu latach. Samą. Nie pozwalasz na niewinny flirt. Porzuciłeś w trudnym okresie starości. On tego nie wie, a ja mu nie powiem. Nie widzi mnie. Tak dobrze usłyszeć: *Masz miły głosik. Dziewczęcy. Szkoda, że jesteś taka młodziutka...* Taka młodziutka. Przez telefon...”

— Przepraszam, ale zaszła pomyłka. Pomyliłam numer. Proszę więcej nie dzwonić. — Wanda się rozłącza.

KTÓRĄ DROGĄ?

Wahanie
Niepewność
Którą drogą?

Jedna do celu
druga

przecięta linią horyzontu
zwisa jak
zbombardowany most

Tylko świętek przydrożny
zna tajemnicę

Wyjawisz mi ją
za grosz?